

Warszawa dnia 17 (29) Kwietnia 1868 roku.

Nr 17. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz Numer 16-ty).

Tymczasem nasz zapas wędzonego mięsa bliskim już był wyczerpania i należało myśleć o uprowidowaniu śpiżarni. Postanowiliśmy tedy z Bolesławem i Witoldem zwiedzić wyższą część doliny, pozostawiając dom i żonę z córkami na opiece Pawła.



Skosztuj no tatko wody, zobacz jak słona. (Str. 130, szp. 1-sza Rysunek i drzeworyt Kazimierza Kuczyńskiego).

Uszedłszy z parę wiorst lasem przepełnionym wiewiórkami, natrafiliśmy na świeże ślady z kształtu podobne do odcisku kopyt kozich, ale tak prawie wielkie jak racice łosia. Postępowaliśmy z ostróżnością aby nie spłoszyć stada, które ujrzeliśmy po niejakim czasie pasące się spokojnie na środku obszernej łąki.

— Ojcze— rzekł Witold, rozgarniając powoli gałęzie, to nie są jelenie. Nigdy nie widziałem, aby jeleń miał uszy tak długie jak muł.

—To prawda— dodał Boleś, jelenie nie mają także tak wielkich czarnych ogonów.

Istotnie, zwierzęta te jakkolwiek podobne z rogów do jeleni, różniły się jednak z wielu względów od danieli, sarn i łosiów. Co w nich nadewszystko zastanowiało, to ich wielkość oraz długie uszy i gruby czarny ogon, dziwnie odbijający od jasnogniadej sierści;—nie bez trudności poznaliśmy w pięknem tem zwierzęciu jelenia czarnoogonowego Gór Skalistych (*Cervus macrotis*).

Było ich siedm, ale tak daleko, że broń nasza ztąd by niedoniosła. Nic tedy innego nam niepozostawało, jak obsaczyć ich z trzech stron, co też i uczyniliśmy w ten sposób, że Witold pozostał na miejscu, Bolesław zaszedł z jednego boku, ja zaś stanąłem ze strony przeciwnej.

Zaledwie stanął na swojem stanowisku, gdy stado zbliżyło się do Witolda, który przypuściwszy je na odległość strzału dał ognia i w tej chwili ujrzałem, jak jeden jeleń podskoczył i padł martwy na łąkę. Spłoszone stado puściło się w stronę, gdzie się Boleś znajdował, ale i tu tenże sam los jednego z jeleni spotkał. Przyszła wreszcie i na mnie kolej: strzeliłem, ale z wielkiem zdziwieniem ujrzałem, że żaden z jeleni nie upadł, lecz owszem całe stado wbiegło w zarośla i znikło nam z oczu. Miałżebym chybić? Ale podbiegłszy kilkadziesiąt kroków, znaleźliśmy rozciągniętego na ziemi jelenia, broniącego się jeszcze o ile mu siły pozwalały, od na-

cierających z obu stron psów. Tryumf nasz był zupełny: trzy strzały a żadnegośmy nie chybili, co przy zmniejszających się zapasach prochu, było rzeczą nie małej wagi. Bolesiowi jednak należał się największy zaszczyt, gdyż strzelał do jelenia w całym biegu i z dość znacznej odległości.

Gdy przywiązaliśmy jednego jelenia do gałęzi drzewa, by zdjąć zeń skórę i wyrzucić wnętrzności, Boleś zmęczony pracą i chodzeniem po upale uczuł pragnienie, i wziąwszy z sobą czarkę blaszaną poszedł szukać wody. Nie upłynęło kilku minut po jego odejściu, gdy głośno zaczął nas wołać. Obawiając się, aby nie spotkał jakiego drapieżnego zwierzęcia, porwawszy fuzję spiesznieśmy w tę stronę pobiegli; ale jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy ujrzeli go siedzącego nad brzegiem strumienia z czarką w ręku.

— Co ci takiego? —zapytałem.

— Skosztuj no tatko tej wody—odparł, zobacz jak słona!

— Prawda, zawołałem głośno, cofając usta od naczynia, to tak słone jakby soli kto wsypał.

Istotnie woda była słoną i możeby spragnione chłopaki wolały słodką, ale co do mnie, odkrycie to wielką sprawiło mi radość. Szczupły bowiem nasz zapas soli od kilku dni zupełnie się już wyczerpał, co dla nas nieprzyzwyczajonych do niesolonego jadła, wielce było przykrem. Źródło zaś odkryte przez Bolesia, zapewniało nam niewyczerpaną ilość tego ważnego artykułu żywności. Wytłumaczyłem więc dzieciom moim, że dość nam tylko przegotować tę wodę, by otrzymać sól do zasolenia wszelkich naszych potraw. Zadowoleni z tego odkrycia, zaspokoiwszy pragnienie w strumieniu, wróciliśmy do przerwanej roboty, która w półgodziny potém ukończoną została. Pozostawiwszy jelenie zawieszone na gałęzi, wróciliśmy do domu, radzi z pomyślnej wieści jaką mieliśmy zakomunikować Annie.

Nie potrzebuję tu dodawać, z jaką radością przyjęła Anna tę wiadomość: zaraz nazajutrz postanowiliśmy przetransportować nad brzeg słonego źródła kocieł i zająć się na miejscu warzeniem soli—było to bowiem daleko łatwiej aniżeli przywozić wodę do domu. Tymczasem, wziąwszy z sobą konia, udaliśmy się po swą zdobycz, którą przed zachodem jeszcze słońca odwieźliśmy do domu.

Paweł tymczasem nie pozostał bezczynnym, a wiedząc iż mięso nie wędzić ale solić mamy, ściął potężne drzewo tulipanowe i z pnia jego, za pomocą siekiery zrobił koryto, podobne do czółna indyjskiego: w niem to, w braku innych naczyń, mieliśmy solić mięso jelenie. Nawiasem tu wspomnieć wypada, że z tegoż samego drzewa wyrabialiśmy sobie potem i inne naczynia, które jakkolwiek nie odznaczały się zgrabnością, zupełnie jednakowoż odpowiadały naszym potrzebom.

Nazajutrz rano, z całym domem udaliśmy się nad brzeg źródła. Anna jechała na wozie, ja z Pawłem nieśliśmy dziewczynki, Witold zaś i Boleś dźwigali kocieł zawieszony na drągu; psy także nam towarzyszyły. Trzeba wiedzieć, że żona moja, wychowana w Dreznie w domu pewnego znakomitego botanika, nie tylko że całem sercem polubiła tę piękną naukę, ale i wielkie postępy w niej uczyniła. Otóż przypatrując się drzewom któreśmy po drodze spotykali, zauważała, że niektóre z nich mogą nam być wielce przydatne: nadewszystko na widok jednego z nich, wydała głośny okrzyk zdziwienia utrzymując, że to co widziała nie mniejszą nam korzyść przyniesie jak źródło słone. A gdyśmy prosili aby jaśniej się wytłumaczyła, odparła, żeśmy w tej chwili i bez tego szczęśliwi i dopiero za powrotem do domu, dowiemy się o jej odkryciu.

—Być może—mówiła, będziecie zmęczeni i w złym humorze, to co wam powiem przywróci wam wesołość i zadowolenie.

Gdy tak rozmawiając przechodziliśmy małą łączkę, wybiegło z krzaków przed nami jakieś zwierzątko, popatrzywszy na nas spokojnie oddalało się: wielkości naszego kota, sierść miało brunatną i lśniącą; od głowy przez szyję wzdłuż grzbietu długie białe smugi, zwężające się ku ogonowi. Ujrzawszy nas, zatrzymało się i podnosząc swój długi i szeroki ogon, odwróciło się ku nam z wdziękiem i łaskawością młodej kotki. Boleś, który nie znał tego rodzaju zwierząt, podbiegł ku niemu chcąc je pochwycić i przyswoić.

Wołałem nań aby się zatrzymał, ale czy to z powodu, iż nie usłyszał mnie dla hałasu jaki robiły psy które także się pędziły, czy też iż mu bardzo się podobało piękne zwierzątko, dość że biegł dalej. Polowanie nie trwało długo. Zwierzątko stało sobie przy krzakach, jakby się zupełnie nie obawiając swego nieprzyjaciela. Gdy już, już, zadyszany Boleś miał je pochwycić odpędzając psy, które widocznie tenże sam zamiar miały, zwierzątko nagle podniosło się na tylnych łapach, podjęło w górę ogon i odwróciło się w sposób najniegrzeczniejszy od tych co za niem pędzili; było tam jednak coś gorszego niż niegrzeczność—bo doraźna kara.

(D. c. n.)

ŚMIECH.

Wszak byłem piosnką co matka twa
Nad niemowlęctwem twojem nuciła,
A potém, owa tęczowa mgła,
Która nad twojem jutrem świeciła.

Byłem woń kwiatów i ptasząt chór,
Coś na młodzieńca wzrósł między niemi,
I wzajemnością tych ziemskich cór;
Co cię nęciły oczy modremi.

Byłem i zorzą twych młodych dum,
I pieśni twych nuta i słowo,
I twych przyjaciół wzgardzony tłum,
Twem drżącem sercem, twą hardą głową.

Nie wiesz? wszak byłem genjuszu blask,
Co opromieniał nieraz twe skronie,
Byłem zwiastunem tysiącznych łask,
Ja żądzą sławy, grałem w twem łonie.

Słyszałeś głosy? dąż! albo stój!
To ja rzucałem ci to zaklęcie,
A przez pot czoła i tród i znój,
Miałem zgotować ci wniebowzięcie.

Teraz — jam echo rozpierzchłych ech,
Próżno mię ścigasz, naprózno wołasz,
W śmiech mię zakląłeś — twe wczora, śmiech!
Śmiechu co skonał, wskrzesić nie zdołasz.

Aleksander Osipowicz.

POMPEJA.

(Ciąg dalszy—patrz Nr. 16-ty).

Najważniejszym placem po opisanym tutaj, było *Forum triangulare*, tak nazwane od swego trójkątnego kształtu, znajdujące się na południe miasta niedaleko od stabjańskiej bramy. Portyk o stu kolumnach otaczał tu położoną w środku świątynię w stylu staro-greckim, nieistniejącą już dzisiaj.

Na wschód od tego Forum wznosi się wielki teatr; był on na starożytny sposób niepokryty i mógł pomieścić 5000 widzów. Przestrzeń zostawiana dla publiczności ma trzy rodzaje miejsc, z których najniższe i najbliższe sceny, dla znakomitszych osób przeznaczone były. Siedzenia składały się z kamiennych stopni, widzowie zaś przynosili z sobą poduszki, ażeby je uwygodnić. U szczytu otaczającego muru widzieć jeszcze można pierścienie kamienne do zatykania drągów, na których zawieszano zasłony dla ochronienia od promieni słońca. I ten budynek jest bardzo zniszczony i gorzej nawet utrzymany jak drugi teatr, mogący objąć około 1500 osób; ten ostatni był pokryty dachem drewnianym, z czego wnosić należy, że w nim muzykalne przedstawienia dawano.

Amfiteatr leży w południowo-wschodniej stronie miasta w bliskości placu, który w zeszłym wieku odkopano, nazwano targiem wołów i jak to podówczas robiono, zasypano napowrót. Wiadomo jak ogromne były te cyrki starożytne: prawie cała ludność miejska pomieścić się w nich mogła. Amfiteatr Pompei ma formę wielkiego owalu i jest 226 łokci długi, a 177 szeroki; do 20,000 widzów przypatrywać się w nim mogło igrzyskom. Igrzyska te, smutny objaw rzymskiej cywilizacji, były dwojakie: walki zwierząt i walki gladjatorów. Z pomiędzy zwierząt produkowano tu najczęściej byki, niedźwiedzie, dziki, a nawet lamparty, lwy, tygrysy; słonie, z powodu nadzwyczajnych kosztów połączonych z ich sprowadzeniem, brały udział tylko w igrzyskach Rzymu. Zwierzęta częścią walczyły z sobą, częścią rzucano im na pastwę skazanych przestępców, bezbronnych lub źle uzbrojonych. Niekiedy także walczyły z niemi tak zwani *bestiarii* albo *venatores*, których z hiszpańskiemi torreadorami i matadorami porównać można. Gladjatorami byli niewolnicy szczególniej z północnych krain, lub dobrowolnie ugodzeni ludzie niższych stanów. Entreprenerowie igrzysk wyzyskiwali ich życie i siły niegorzej jak dzisiejsi *impressarii* talenta, a nadto trzymali ich w rodzaju koszar w nadzwyczaj surowym rygorze. Przedsiębiercy ci albo dawali igrzyska na swój własny rachunek za opłatą wejścia, lub wynajmowali swoich ludzi prywatnym lub urzędnikom dającym zabawy publiczne. Ceny tego najmu dochowały się: za gladjatora na jedno wystąpienie płaciło się na dzisiejsze nasze pieniądze 5 rs. 22 kop. jeżeli zaś zginął w walce lub tak uszkodzonym został, że nie mógł dalej pełnić swego rzemiosła, entreprener otrzymywał wynagrodzenia 261 rs. Na kilka lub więcej tygodni naprzód zapowiadano igrzyska, a niektóre z takich ogłoszeń znalezione zostały w Pompei. Najczęściej występowali tutaj gladiatorowie cesarscy wyćwiczeni w Kapui; walczyli z sobą po dwóch najczęściej, pieszo a niekiedy konno. Uzbrojenie i rynsztunek były bardzo rozmaite i od tego gladjatorów na różne klassy dzielono. Muzyka rozpoczynała igrzyska, potem następowała udana walka na broń tępą, a po tej dopiero rzeczywiste potyczki. Walki te w ogólności nie kończyły się śmiertelnie: zwyciężonym lub rannym, którzy w boju okazali odwagę i zręczność, publiczność powiewając chustkami darowywała życie; igrzyska jednak dawane na cześć kogo zmarłego, zazwyczaj się kończyły śmiercią jednego przynajmniej gladjatora—wyobrażono sobie bowiem, że duch zmarłego potrzebuje ofiary człowieka.

Pod północno-zachodnią bramą prowadzącą do Herkulanum, odkopano ulicę, po której obu stronach znajdują się pomniki zmarłych. Było powszechnym obyczajem chować umarłych na ulicach, i tym sposobem niejako pozostawiać ich w towarzystwie żyjących. Pomniki mają kształt małych domków lub świątyń z izdebką we środku, w której urny z popiołami wystawiano—ciała bowiem zmarłych palono wówczas. Najpiękniejsze pompejańskie pomniki, należą już do czasów cesarstwa. Wiadomo, że podobne ulice cmentarne znajdowały się także pod innemi bramami, lecz dotąd ich nie odkopano.

Z publicznych budynków zasługują także na wzmiankę jedne i drugie *thermy* czyli łazienki. Pierwsze leżą na północ od Forum przy jednej z trzech głównych wyżej wspomnianych ulic, a mianowicie przy tej, która od zachodu na wschód miasto przecina i na Nolańską bramę wychodzi; drugie na innej głównej ulicy idącej, od południa na północ od bramy prowadzącej do Stabji do bramy wiodącej ku Wezuwiuszowi,—jedne i drugie znajdowały się więc w samych ogniskach miejskiego ruchu. W starożytności kąpiel była czemś daleko ważniejszem jak dziś jest: kąpano się częściej i regularniej jak teraz. Potrzeba tego była tym większa, że ramion i nóg nie okrywano, a wełnianą odzież którą noszono, zazwyczaj rzadko zmieniano. Do potrzeby przyłączył się następnie zbytek. Proste izdebki łazienne upiększono i powiększono, kąpiel stała się sposobnością zabijania długiego czasu i współcześni pisarze uznają, że przyczyniła się niemało do zepsucia obyczajów.

Urządzenie kąpieli starożytnych, podobnem było do urządzenia dzisiejszych łaźni. Kąpiący się, przechodzili kolejno do trzech sal coraz mocniej ogrzanych i brali tym sposobem kąpiel parową. Oddziały dla kobiet i mężczyzn były zupełnie odłączone od siebie. Sadzawki zimnej wody do pływania, pokoiki dla pojedynczo kąpiących się, słowem to wszystko co się zwykło znajdować w dzisiejszych naszych łazienkach, znajdujemy już w Pompei. W czem jednak starożytni mają przed nami pierwszeństwo, to w przepychu urządzenia pełnego elegancji i artystycznego smaku;—pod tym względem odznaczają się szczególniej większe, z nadzwyczajną wytwornością urządzone łazienki na Stabiańskiej ulicy. Wielki plac wewnętrzny, otoczony kolumnadą, pozwalał kąpiącym się przed albo po kąpieli, oddawać się zabawom i ćwiczeniom ciała.

Główne jednak zajęcie w zwaliskach Pompei przedstawiają nie budynki publiczne, te bowiem i gdzieindziej dochowały się w znacznej ilości, lecz raczej mieszkania prywatne. Nasza dzisiejsza znajomość starożytnego domu prywatnego opiera się wyłącznie na tem mieście, i przed poznaniem go nie można było mieć dokładnego wyobrażenia o życiu domowem starożytnych.

Przechodząc nieszerokie lecz starannie brukowa-

ne i trotoarami zaopatrzone ulice, można zaraz spostrzedz wielką różnicę pomiędzy domami mieszkalnemi. Jedne z nich są zupełnie otwarte od ulicy, inne przedstawiają tylko gołe pozbawione okien mury: pierwsze z nich są to sklepy, a drugie stanowią domy prywatne. Sklepy są to czworokątne przestrzenie niewielkiej obszerności, zamknięte od strony ulicy ruchomem drewnianem przepierzeniem, które całkiem odjąć było można i które w czasie pogody zupełnie odejmowano; częstokroć sklepy te są połączone z domami, co domyślać się każe, że ich posiadacze byli bogatszymi kupcami lub przemysłowcami.

Niejednego ze zwiedzających Pompeję uderzyło pewno, że nie ma w niej wielkich zakładów fabrycznych, jakie spotykamy w dzisiejszych miastach. Zdawałoby się, że tam gdzie wszystkie bogactwa skupiały się w rękach niewielu, zakłady takie istnieć były powinny. Dziwić się jednak temu nie będziemy jeżeli wspomniemy na to, że starożytność nie znała maszyn dzisiejszych, a konieczność ograniczania się pracą ręczną uniemożebniała rozwój przemysłu na wielką skalę, było bowiem korzystniej utrzymywać pewną liczbę małych warsztatów z ograniczoną liczbą robotników, niż wielu zgromadzać w jednym zakładzie.

Z pomiędzy rodzajów przemysłu, niektóre były jeszcze w zupełnem dzieciństwie, niektóre jednak a mianowicie te do których potrzeba było pewnej artystyczności, oka i ręki—doszły wysokiego stopnia rozwoju. Najczęstsze ze wszystkich są piekarnie, w których zarazem mielono zboże. Przed kilku laty odkopano piec piekarski pełny chleba: było go około ośmdziesięciu bochenków, w stanie jak się łatwo domyśleć, zupełnie zwęglonym. Dalej jednemi z najliczniejszych są *fullonica* rodzaj pralni publicznych, w których suknie owoczesne oczyszczano i prasowano.

Obok rzemiosł, kwitnął także drobny handel; liczne były składy oliwy, owoców, szynkownie i obszerniejsze zajazdy. Największa liczba rzemieślników i handlarzy mieszkała albo w samych sklepach, z któremi często inne pokoje połączone były, albo we własnych małych domach.

Co do domów ludzi bogatych nie trudniących się handlem ani przemysłem, tych plan i urządzenie jest dosyć rozmaite i nietak łatwo jest w krótkich słowach je opisać. Główną ich różnicą od teraźniejszych domów było to, że nie miały w sobie szkła; Gdy nasze domy z ulicy za pośrednictwem okien otrzymują światło i powietrze, storożytne zamykały się od ulicy zupełnie. Wszystkie pokoje mieściły się do koła wewnętrznego podwórza do połowy zasłoniętego dachem, który w środku był otwarty dla przepuszczania światła; dach ten był spadzistym do środka, woda więc z deszczu spływała do środkowego punktu domu do małej sadzawki, z której do podziemnej cysterny przechodziła. Pokoje są w ogólności niewielkie, czas przepędzano i pracowano na owym podwórzu. Oprócz tego nie znano kominów, piece zaś są i dotąd w południowych Włoszech nieznane. Pierwiastkowo domy ograniczały się na jednem otoczonem pokojami podwórzu zwanem *atrium*, w trzecim wieku przed Chr. już to nie wystarczało i zaczęto powiększać domy dodaniem drugiego kolumnowemi krużgankami otoczonego podwórza, które *perystylem* nazwano. W późniejszych czasach powiększało się to jeszcze bardziej tak, że znajdujemy aż po cztery podwórza w jednym domu. *(d. n.)*

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki krymiinalnej.

(Ciąg dalszy.—Patrz N. 16-ty).

— Tego dokładnie powiedzieć nie mogę — odrzekł aresztowany po pewnym namyśle, — jak pan sam mówisz, przedstawiono mnie jako człowieka nie rachującego się z groszem;—jest w tem prawda. Wychodząc z domu, nie wiedziałem ile mam przy sobie pieniędzy. Robiłem wydatki, których dokładnie już dziś bym sobie nie przypomniał, później miałem wpływy, których również nie rachowałem...

— Co?... ależ to nieprawdopodobne! — zawołał urzędnik bystrym okiem mierząc oskarżonego.

Opędzki uśmiechnął się zlekka.

— Nieprawdopodobne — rzekł wzruszając ramionami, — bynajmniej. Gdybyś pan chciał poszukać, znalazłbyś mnóstwo ludzi którzy wiedzą tylko iż mają dochód w ciągu dnia, a ile ten dochód wynosi dowiadują się dopiero wieczór, gdy go ogółowo przeliczą.

— Takiej odpowiedzi, sam pan przyznaj, nie mogę przyjąć za tłómaczenie. Bronić się podobnemi uwagami, jest to toż samo co nie odpowiadać wcale. Pan nie jesteś w takiem położeniu, któreby pozwalało przypuszczać, że masz podobne dochody. Wypada zatem, że na pytanie: o ile pańska gotówka powiększyła się w dniu wczorajszym, nie odpowiadasz pan wcale.

— Przeciwnie panie, odpowiadam, że tego dokładnie określić nie mogę—a że nie kłamię, na to dowód w tem, iż wyznaję że mi przybyło pieniądzy w ciągu dnia. Gdybym miał jakąkolwiek obawę tobym powiedział, że wszystkie te pieniądze miałem oddawna i nie sądzę, — żebyś pan miał sposób dojścia i dowiedzenia mi, że twierdzenie moje jest fałszywe.

Uwaga była tak słuszną, że przeciw niej nic nadmienić nie było można. Opędzki w istocie, gdyby był winnym morderstwa i rabunku, miałby interes właśnie w tem żeby dowodzić, iż pieniądze które przy nim znaleziono, posiadał od bardzo dawna. Inne zeznanie z jego strony byłoby dowodem albo wielkiej niezręczności, albo prawdomówności szczególnej, albo nareszcie lekceważenie sprawy o której był pewnym, że dla niego szkodliwych następstw mieć nie może. Co do niezręczności dał dowody, że się potrafił bronić zręcznie i o to nie wypadało go posądzać; zostawała więc prawdomówność lub lekceważenie, lecz przyjmując takowe trzeba było zarazem uznać go niewinnym, bo morderca i rabuś nie może być zagorzałym przyjacielem prawdy, zwłaszcza kiedy ta prawda jest dla niego niebezpieczną i rzuca nań podejrzenie; lekceważenia zaś sprawy, gdyby był pod słusznym zarzutem, przypuszczać nie było podobna.

To też słowa Opędzkiego dobrze dlań usposobiły indagatora, który kazawszy je protokuliście zapisać dosłownie, zaczął tonem życzliwym:

— Panie Opędzki, wierz mi, że w interesie pańskim zadaję ci jeszcze jedno pytanie i że niezmiernie wiele zależy na tem, żebyś na nie odpowiedział stanowczo, chociaż u komisarza wyraźnie na nie odmówiłeś odpowiedzi.

— Będę się starał.

— Pieniądze które się znajdowały przy panu, składały się z papierów i złota. Objaśnij pan, czy złoto było dawniej w posiadaniu pańskiem, czy dopiero od wczoraj.

— Od wczoraj.

— Ani jednej sztuki nie miałeś pan wychodząc z domu?

— Ani jednej.

Odpowiedzi te aresztowany dał tonem najobojętniejszym w świecie i nie zwrócił nawet uwagi na wrażenie, jakie one na badającym go urzędniku sprawiły. Urzędnik ten widocznie zupełnie co innego przewidywał. Już nabrał w duchu przekonania, że miał przed sobą człowieka poszlakowanego niewinnie, gdy teraz Opędzki tę jego pewność zamienił w nader uzasadnione podejrzenie, że jest tylko bezczelnym i zręcznym łotrem. Indagujący zagryzł usta, milczał przez chwilę starając się ukryć nieprzyjemność, na jaką go naraził ten zawód i zapytał nareszcie siląc się na ton łagodny i obojętny:

— Jakże pan wytłómaczysz, że jedyną sztuką monety, która się znalazła przy zamordowanym w jednej z jego kieszonek od kamizelki, była właśnie sztuka złota... półimperjał?...

Inkwirent patrzał przenikliwie na obwinionego, którego ta uwaga cokolwiek zmięszała. Twarz jego pobladła wyraźnie, panując przecież widocznie nad sobą, odpowiedział:

— Szczególny zbieg!...

— Nic więcej, prawdaż — goręcej i z zapałem ozwał się na to urzędnik, — nic więcej. Szczególny zbieg!... To nie jest żadne tłómaczenie. W takie szczególne zbiegi nikt nie uwierzy, nie masz pan nic na dowó d że to przypadek, nic na swoje usprawiedliwienie, a nie mówiąc już o innych poszlakach, tej jednej byłoby dosyć i ona pana potępia.

Oko Opędzkiego zabłysło nagle, podniósł się z krzesła, stanął przy stole i podniesionym, energicznym głosem zawołał:

— Potępia!... o nie, panie. Nic za mną nie przemawia!... o, nie!... Inne byłyby moje zeznania, inna postawa, inny język, gdybym był zbójcą i złodziejem. To nie dowód, pan powiesz. Więc chciej mi odpowiedzieć, jakim sposobem gdybym dopuściwszy się morderstwa zabrał to złoto mówiłbym panu, że właśnie wczoraj do kieszeni mojej wpłynęło kilkanaście sztuk złota?... Sądzisz mnie pan tak ograniczonym, iż w takim razie nie pojąłbym, że o złocie milczeć potrzeba?... Powiadasz pan, że to poszlaka ważna iż w kieszonce zamordowanego znaleziono sztukę złota, lecz panie, to dowodzi właśnie, że gdyby zabity miał przy sobie więcej sztuk złota, toby je nosił w tej samej kieszonce do której złodziej widać nie zajrzał, a nie dowodzi wcale, że miał wszystkie kieszenie wyładowane złotem. Sztukę schował widocznie oddzielnie, żeby jej nie wydać za srebro — z tąd dowód, że nie miał innej. Jest to jasne jak dzień, panie, i dla tego oświadczam panu stanowczo, że z tej poszlaki drwię i że żaden sąd nie wyprowadzi z niej wniosku, jaki pan chcesz wyprowadzić.

Ogień z jakim to mówił wymowniej jeszcze niż same argumenta jakiemi się bronił, a którym siły i prawdopodobieństwa odmówić nie można było, świadczyły za jego niewinnością. Inkwirent znowu pogodził się z myślą, że ma przed sobą niesłusznie oskarżonego człowieka.

Po zadaniu jeszcze kilku mniej ważnych pytań, przesłuchanie skończyło się i Opędzkiego odprowadzono do więzienia.

IV

Aresztowany osadzonym był zupełnie oddzielnie i z nikim widywać się nie mógł aż do ukończenia śledztwa, nie broniono mu jednakże wszelkich wygód, jakie w więzieniu są możebne.

Celka jego niewielka, należała do najporządniejszych w domu badań. Dosyć wysoko umieszczone okno dawało dostateczne światło tak, że izba w której był osadzonym nie miała tej cechy lochu czy podziemia, jaką miewają często ponure i wilgotne więzienia. Umeblowanie bardzo skromne i nieliczne, było jednak wystarczające; przedewszystkiem znajdowało się łóżko, sprzęt zupełnie nieznany w więzieniach niektórych krajów, naprzykład w Niemczech; dalej był stół, krzesło, półka do składania odzieży i drobnych przedmiotów — i nic więcej. Młody człowiek przywykły do wygodnego i wykwintnego nawet życia, nie mający zwyczaju zwłaszcza od czasu odebrania spadku liczyć się z pieniędzmi i odmawiać swoim zachceniom, miał się tu uczyć, że tak mały, mniejszy nawet dobytek wystarczyć może rzeczywistym potrzebom życia, że temi nielicznémi sprzętami można się obejść, przyzwyczaić się do nich i nie myśleć nawet o tem że inne przydaćby się mogły. Bo więzień w jakiem bądź jest zamknięty więzieniu, czy ono brudne i posępne, czy urządzone z komfortem i wygódkami, przywyka w końcu do niego, oswaja się z niem, godzi się z jego niedogodnościami i przestaje uczuwać brak wszystkiego, o jednym tylko braku zapomnieć nie może: o braku klamki u drzwi, którą by mógł poruszać lub otwierać swoją samotnią, ażeby z niej wyjść kiedy zechce.

We drzwiach tęgo okutych w istocie klamki nie było, znajdowała się w nich tylko niewielka szybka, przez którą od czasu do czasu zaglądało do wnętrza obce, obojętne oko.

Kiedy z samego rana naszego więźnia przewieziono z policji do domu badań i gdy go zamknięto w tej celi, pierwszą jego czynnością było obejrzeć swoje nowe mieszkanie.

— Myślałem, że to coś straszniejszego więzienie, — rzekł półgłosem, odbywszy uważnie ten przegląd.

Nie znać było na nim boleści, walki wewnętrznej, wyrzutów sumienia, rozpacznej obawy na myśl, że może ta mała celka na długo pozostanie jego mieszkaniem, — nie przypuszczał widać tej myśli.

Jeżeli oko, które w tej chwili przez szybkę zajrzało do celki należało do wprawnego i przenikliwego postrzegacza, postrzegacz ten musiał sobie powiedzieć:

— Ten człowiek z taką spokojnością i ciekawością oglądający swoje nowe siedlisko, przypatrujący mu się obojętnie, bez gniewu i bez rozpaczy, musi być mocno przekonanym, że tutaj długo nie zostanie i że go nic złego nie czeka.

Uwaga ta byłaby słuszną. Opędzkiemu na myśl nawet nie przyszło, żeby poszlaki które na nim ciążyły, a które za niedorzeczne uważał, mogły być tak ważne. Czy był rzeczywiście niewinny, czy nieograniczenie ufał swojej obronie, — nie chcemy w tem badać jego sumienia. Dość, że obejrzawszy swą celkę, zabrał się do szczegółowego przeglądu ścian, szukając czy na nich poprzedni mieszkańcy nie pozostawili jakich napisów.

Nie zawiódł się wcale w oczekiwaniu: napisy były

syć liczne i rozmaite, choć w wielkiej części pozacierane i niezbyt czytelne. Studjował je z ciekawością człowieka, który gwałtem zajęcia szuka. Na wolności nigdy nic nie robił prócz szukania przyjemnostek i rozrywek, tu zaledwie się znalazł sam z sobą, po zadrzwiami które nie od niego zależało otworzyć, zaraz zaczął tęsknić za pracą.

Napisy w ogólności nie były ciekawe. Czasami stanowiło je nazwisko, najczęściej pierwsze litery, daty; tu i owdzie więzień kreślił sobie kalendarz, żeby rachuby czasu nie zapomnieć i dni przebyte w samotności wymazywał; niekiedy znajdował się jakiś frazes moralny, niekiedy znów wykrzyknik w takim rodzaju: „Trzy lata!... za taką bagatelę!...” w innem miejscu formalny, porządnie prowadzony spis potraw codzień dawanych na obiad—i tym podobne rzeczy.

Jeden napis bardziej zwrócił na siebie uwagę naszego więźnia. Kreśliła go ręka wprawna, kaligrafja wyborna, ortografja nieskazitelna, myśl przecież którą wyrażał należała do dziwnej kategorji pojęć:

Stracisz pieniądze—nic nie straciłeś,
Stracisz honor—mało straciłeś,
Stracisz wolność— wszystko straciłeś.

— Szczególna filozofja! — zawołał czytając to Opędzki, —ręczę że ten co to pisał, już dzisiaj kajdanami brzęczy.

Pisane to było ołówkiem. Więzień nasz bez względu na niemiłe wrażenie, jakie na nim robiło drapanie paznogciami po ścianie, użył tego sposobu i w drugim wierszu zmazał wyraz *honor*, a w trzecim *wolność*. Potem sięgnął ręką do bocznej kieszeni tużurka po pugilares, w którym miał ołówek; ruch ten był machinalny i daremny—pugilares mu bowiem odebrano przy aresztowaniu.

— Bodajże to — rzekł głośno, — zapomniałem że mi wzięli ołówek, jakby jakie niebezpieczne narzędzie.

Poszedł do drzwi i zapukał. Wkrótce potem oko ukazało się przez szybkę.

— A czego to? — zapytał głos z zewnątrz.

— Potrzebuję ołówka.

— Na co?...

— Chciałem pisać po ścianie.

— Nie wolno jest bazgrać po ścianach.

Z temi słowy oko oddaliło się od szybki.

— Wyborne —rzekł Opędzki, —niewolno, a całe ściany zabazgrane. Bądź co bądź napisać muszę, ale czem?...

Nikt nie jest tak pomyślnym jak więzień. Ledwie się drzwi zamkną za nim, ledwie się opamięta i uspokoi i z losem swoim pogodzi, ledwie się ujrzy zmuszonym radzić i wystarczać samemu sobie, zaraz pomysłowość jego rozwijać się zaczyna. Myśl uwięzionego potrzebuje ciągłego zajęcia, a gdyby ciągle rozpamiętywał swoje położenie, pomnażałby tylko przykrości tego położenia; stara się więc oderwać od tego co go otacza; stara się zaprzątnąć czem innem. Zbrodniarz, wiedząc że nie uniknie kary, pragnie w ten sposób mniej okropną uczynić największą z kar, brak swobody; — niewinny, ufny że przykrość która go dotyka wkrótce i z pewnością przeminie, chce skrócić czas, z którym nie ma co robić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JASZCZURKA.

Jaszczurki należą do działu gadów, który złożony jest z czterech poddziałów; mianowicie zawiera: 1-o Gady żółwiowate, 2-o Jaszczurkowate, 3-o Wężowate, i 4-o Gady ziemnowodne czyli płazy.

Do gadów jaszczurkowatych należy: Krokodyl, Kajman, Gawial, Smok, Kameleon, Ostrzegacz, Bazyliszek, i *Jaszczurka pospolita* (Lacerta), nad którą właśnie zastanowić się mamy.

Jaszczurki pospolitej dwie głównie znajdują się odmiany: *Zielona* jest większą, przebywa zwykle w lasach; *Szara* mniejsza, trzyma się domów i ogrodów.

Przeważa mniemanie, że jaszczurka wraz z innemi gadami rozradza się z jaj, jednakże tego mniemania za ustalone uważać nie można, ponieważ niektórzy badacze Przyrody inaczej utrzymują; naturalista Guérin stanowczo twierdzi, że jaszczurki żywe się rodzą. Zatem rozsądzenie tego przedmiotu, wypada jeszcze odroczyć do głębszego zbadania.

Jaszczurkę odznacza głowa trójkątna, spłaszczona, pokryta łuską stanowiącą puklerz, a która właściwie jest przedłużeniem kości czaszkowej. Oczy ma żywe, powieki ruchome; otwór gęby duży, składa się z dwóch szczęk podłużnych, opatrzonych małemi, ostremi zębami, na wewnątrz zakrzywionemi, język jej długi, płaski, jest ku końcowi rozdwojony i według zdania kilku naturalistów, ma być pokryty twardemi, krótkiemi włoskami, które stosownie do swej woli zwierzę może spłaszczyć lub najeżyć, dla przytrzymania złowionego owadu. Korpus jaszczurki jest podłużny, a kolor jej bardzo rozmaity; cztery nogi są uzbrojone ostremi, cienkiemi pazurami, za pomocą których zwierzątko z łatwością się utrzymuje na murach i drzewach; ogon złożony ze stawów za najmniejszem naciśnieciem oddzielających się, przedstawia zjawisko, o którem zamilczeć nie możemy: to jest że odrasta gdy go się utnie, ale już tak nie wygląda jak pierwotny, bo nie ma łuski na sobie.

Na powyższym opisie nie ograniczają się wiadomości o tym zgrabnym gadzie. Po zbadaniu organów, pozostaje nam poznać jego obyczaje, sposób życia, walki jakie staczać musi—jednem słowem wszystkie zalety, co go od innych zwierząt z tej gromady wyróżniają.

Trudno zrobić sobie wyobrażenie o prędkości biegu jaszczurki: szybka jak strzała przerzuca się z miejsca na miejsce, czy to upędzając się za zdobyczą, czyli też unikając nieprzyjaciela. Życie jej, które się przedłuża do lat dwudziestu, jest ciągłym szeregiem przebiegłych podstępów, dla wyszukania pożywienia przedsiębranych oraz z uprzejmości dla swojej towarzyszki. Jaszczurka bowiem jest wzorem stałości, przywięzuje się do jednej tylko samicy, którą zażarcie broni w razie niebezpieczeństwa; lecz przywiązania rodzicielskiego nie daje dowodów: potomstwo jaszczurki zaledwo dzień ujrzy, nie zna już swojej matki; co jest osobliwością w stworzeniu tak czułem, że zasłużyło na nazwę przyjaciela człowieka.

Jaszczurka okazuje też wielkie przywiązanie do miejsca swego zamieszkania, którem jest zwykle rozpadlina w skale, szczerba w murze. Ścigana zawsze się kieruje w stronę domu, ale nie wejdzie do niego aż niebezpieczenstwo minie; poprzednio, skrywa się pod liśćmi lub w jakiem zagłębieniu; gdy się zaś znajduje w swojej jamce, odważnie broni przystępu do niej.

Pomimo małej postawy, idzie w zapasy z wężem; przyczepia się do wargi jego i nie puszcza jej, pomimo mocnych wstrząsań przez przeciwnika dokonywanych, aż wówczas dopiero gdy zostanie rozbitą o ziemię: nie-

szczęśliwa bowiem jaszczurka, zwykle śmierć znajduje w tej walce nierównej.

,,Dawniej — powiada naturalista Favrot— uważano ukąszenie jaszczurki za zabójcze, ale to jest mylnem; wprawdzie wygojenie rany cokolwiek się przeciąga, lecz żadnych złych następstw nie miewa—mówię to z własnego doświadczenia. Jeszcze studentem będąc, zostałem przez jaszczurkę ukąszony, którą wziąłem w rękę spotkawszy ją w lesie. Wycisnąłem nieco ranę, która we dwa tygodnie zagoiła się zupełnie; tylko dla oderwania jaszczurki od mego palca, musiano jej nasypać tabaki w pyszczek, poczem ona zdechła. Była to *jaszczurka zielona*, bardzo rozpowszechniona w południowej Francji.”

,,Zwierzątko to, nie posiada bynajmniej w każdej zarówno porze roku jednako zadziwiającej szybkości i odwagi, które w niem uwielbiamy; zalety powyższe mają miejsce tylko w czasie upałów letnich, gdy ciepło słoneczne jego zesztywniałe członki przejmuje. W krajach zimnych jakoteż umiarkowanych, jaszczurka zimę przepędza w odrętwieniu tak wielkiem, że zdaje się jakoby życie w niej wygasło; można ją wówczas pokrajać na kawałki, a żadnej obrony nie przedsięweźmie. Przez cały czas odrętwienia, pożywienia nie przyjmuje. Prawdziwie, zadziwiać się potrzeba, jak długo głód wytrzymać może. Zdarzyło mi się, że włożywszy *Jaszczurkę szarą* do pudełka zapomniałem o niej przez pół roku, po upływie tego czasu, otworzywszy przypadkiem pudełko ze zdumieniem ujrzałem, że ona żyje jeszcze ale w stanie okropnego wychudzenia. Położyłem ją na ziemi, nie mogła chodzić; zamknąłem ją znowu w pudełku; w miesiąc potem zajrzałem do niej, już nie żyła i wyschła całkiem.”

Organizm jaszczurki w tem jest jeszcze osobliwy, że zdaje się jakoby każda część jej ciała, posiadała życie własne i osobne. Podzielony naprzykład ogon na kilka części i kolejno kłuty szpilką, czuje w każdej części ból nowy; to samo się dzieje z korpusem i głową, gdy ta jest odłączoną. Taka drażliwość nerwowa, przeciąga się do kilku dni po zadanej śmierci zwierzęciu.

Jaszczurka żywi się owadami, robakami i jajami ptasiemi. *Szara* tak pospolita w ogrodach, służy nieraz za zabawkę dzieciom wiejskim. *Jaszczurka zielona*, w krajach południowej Europy dorasta 80 cali długości; jest pręgowana różnobarwnie, błyszczy na słońcu połyskiem metalicznym a świetnym jak kolory tęczy, zwiedza skały i łąki, lubi leżeć pod kwiatami, z ktoremi walczy o pierwszeństwo w świetności. *Białodrzew.*

ROZMAITOŚCI.

— **Jajka Wielkanocne**. Zwyczaj dawania jajek Wielkanocnych, pochodzi ze Wschodu. Jajko odegrywa ważną rolę w czynnościach symbolicznych, z których po większej części składa się religja ludów wschodnich. Jajko jest tam symbolem Chaosu czyli pierwiastkowego stanu wszechświata, a lepiej początku twórczego, z którego powstało wszystko istniejące w przestworzu tegoż świata. Na Wschodzie jest zwyczaj rozdawania jajek w dzień Nowego Roku. Obecnie jeszcze w Persji, gdzie dzień ten jest jedynem świętem cywilnem jakie ten naród obchodzi, zwyczaj ten jest używany ze szczególniejszą uroczystością; pierwszy dzień roku przypada tam mniej więcej w czasie, kiedy my obchodzimy święto Zmartwychwstania.

Sułtan Seladin I ustanowił kalendarz (uważany przez niektórych jako lepszy od Gregorjańskiego) i w tymże oznaczył dzień zmiany roku słonecznego czyli Nowy Rok, na dzień samego przesilenia dnia z nocą.

Wieczorem ogłaszają ludowi święto przez wystrzały z armat i ręcznej broni. Astrologowie uroczyście przystrojeni, udają się do pałacu króla lub też do rządcy prowincji w której się znajdują, na parę godzin przed porównaniem dnia z nocą, dla obserwowania chwili stanowczej. Za danym znakiem przez astrologów, rozlegają się salwy wystrzałów i ze wszystkich stron muzyka wygrywa najpiękniejsze melodje. Święto zaczyna się wówczas, i jest uroczyście obchodzone również przez najbogatszych jak i najbiedniejszych.

W Ispahanie grają orkiestry przez całe ośm dni trwania świąt i odbywają się różne zabawy, tańce i widowiska.

Persowie między różnemi nazwiskami jakie nadają tym świętom, nazywają je także *świętami nowej odzieży*—ponieważ najbiedniejszy nawet człowiek, ubiera się w nowe suknie; bogaci kładą na siebie przez 8 dni trwania świąt bogate ubrania, każdego dnia nowe i odmienne.

Od rana do wieczora przesyłają sobie nawzajem podarunki, a szczególniej jajka malowane i złocone. Niektóre z tych jajek są tak kosztowne, że płacą za nie od trzech do czterech sztuk złota; Król rozdaje tychże od pięciu do sześciu set w swoim kraju. Po większej części jajka te są złocone i mają z czterech stron malowane symboliczne figury, lub też miniaturowe wizerunki różnych osób.

Podczas tych świąt, stosownie do nieodmiennego zwyczaju Wschodu, podwładni dają podarki przełożonym a biedni bogatszym.

Jajko jako symbol ogólnych zasad świata, wywierało zawsze ważny wpływ na pojęcia wszystkich narodów. W Rzymie z pewnym rodzajem zabobonnego przesądu, podawano jajko przy rozpoczęciu uczty. Odtąd też poszło przysłowie Rzymskie: *ab ove usqe ad mala*, od jajka aż do jabłek, od początku aż do końca. Nadmienię tutaj, że Rzymianie nazywali jabłko *malum* to jest *złe*, zapewne na pamiątkę pierwszego grzechu, do którego jabłko było powodem i przynętą.

W Londynie znajduje się obraz Indyjski szczególnie ciekawy, przedstawiający stworzenie świata: Twórca ma przed sobą jajko z boku otworzone, w którem widać żyjące istoty; na skorupie odłupanej tego jajka, stoi człowiek tylko co utworzony, umieszczony on jest między początkiem dobrego i złego — z drugiej bowiem strony stoi djabeł w postaci człowieka z rogami, zupełnie jak go malują malarze chrześcijańscy. Zwyczaj tłuczenia jajka i zjadania kawałka skorupy, jest przywiązany do podania zabobonnego. W średnich wiekach używano tego sposobu jako środka dla uniknienia złośliwości czarowników; łupina bowiem z jajka ofiarowanego w dzień Nowego roku lub Wielkiejnocy, służyła tymże do kreślenia symbolicznych linij potrzebnych do zaklęć szatańskich.

W niektórych krajach jajka Wielkanocne są bardzo bogato ozdobione. Często nawet nie są one prawdziwemi jajkami, lecz wyrabiane z drogich metali, srebra, złota, ozdabiane kosztownemi kamieniami i emaljami kolorowemi, wewnątrz tychże znajdują się często rozmaite figle jubilerskiej sztuki, a cena takowych nieraz do znacznych summ dochodzi.

Pan Monier, autor dzieła po tytułem: *Traité de l'origine des traditions* dowodzi, że zwyczaj jajek Wielkanocnych sięga czasów Fenicjan, którzy czcili Boga pod postacią jaja. Podług mniemania tychże, noc początek wszystkich rzeczy, zapłodniła jaje z którego powstał ród ludzki. Około Wielkiejnocy słońce przychodzi pod równik, pozbywszy się długich nocy — jajko pierwotne tłucze się, ród ludzki się odradza.

Święto Wielkiejnocy czyli Pascha, naznaczone było przez Apostołów jako najważniejsze i najuroczystsze w religji chrześcijańskiej.

W drugim wieku po Chrystusie nastąpiła różnica co do

czasu obchodzenia tychże świąt, w różnych kościołach, na jakie kościół Chrystusa został podzielony.

Kościół Wschodni którego początek był w Azji mniejszej, obchodził takowe dnia czternastego po pełni Marcowej. Kościół Rzymski czyli Zachodni, świętował w pierwszą Niedzielą po pełni Marcowej. Po różnych sporach między dygnitarzami Kościoła Chrześcijańskiego, Sobór w Nicei w 325 roku wydał co do obchodu Paschy stanowczą decyzję.

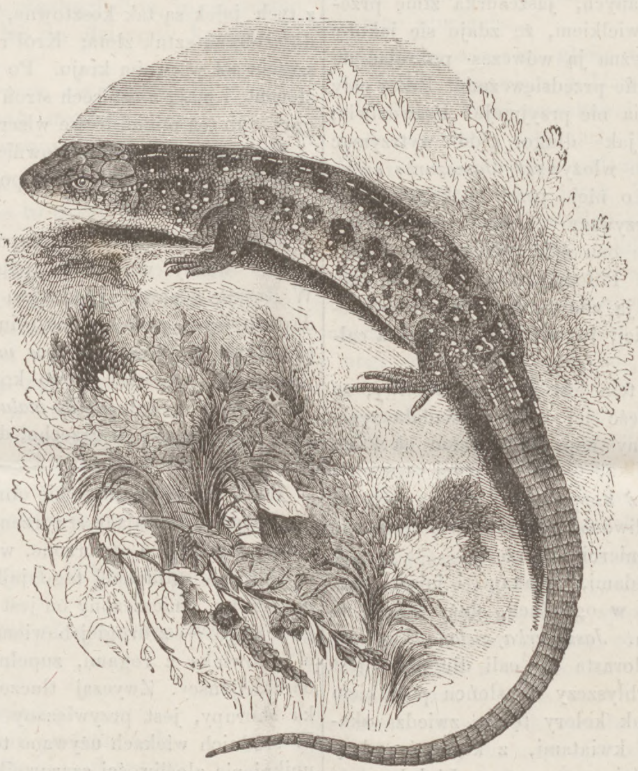
Pascha znaczy właściwie przejście. Uroczystość ta pierwiastkowo ustanowioną była przez Mojżesza na pamiątkę przejścia anioła, który wytępił pierworodnych synów Egipcjan. *S. K.*

— **Kassy zaliczkowe.** W Numerze 10-m Opiekuna, z r. b. donieśliśmy o założeniu kassy zaliczkowej w Białogonie pod Kielcami. O ile wiemy, kassa ta bardzo mała w początku, rozwija się ciągle i dziś liczy już 30 członków i dała zaliczeń w ilości rs. 80; nadto kassa ta zjednywa sobie coraz większe zaufanie, a czynności kassowe odbywają się bez najmniejszego nieporządku i szemrania. Pierwsze więc czyny kassy Białogońskiej rozpoczynają się pod dobrą wróżbą i jeżeli tylko nie zabraknie Białogońskim robotnikom cierpliwości, wytrwania i poszanowania przepisów, to dobre powodzenie wywróżyć można tej małej kassie która to, że może stać się wzorem dla innych większych z obszerniejszem polem działalności.

Już obecnie mamy wiadomości o projektach dwóch innych kass zaliczkowych. Jedna z nich ma być założoną w Radomiu i na ten cel zebrano już fundusz za pośrednictwem koncertu amatorskiego; słyszeliśmy zaś, że ma być założoną na wzór kassy Białogońskiej, tak przynajmniej sądzić wypada z artykułu zamieszczonego w *Radomskich Wiadomościach*, który powiada: ,,że poznawszy całą korzyść jaką będzie można z kassy pożyczkowej osiągnąć, być może że robotnicy nasi sami pomyślą o polepszeniu swego bytu.”

Druga zaś kassa zaliczkowa założoną być ma w Warszawie przez cech krawiecki, łącznie z kasą emerytalną dla czeladzi. Wartałoby aby i inne cechy krawieckie pomyślały o takich kassach, boć biéda wszędy czuć się daje, albo jeżeli dziś jeszcze nie jest bardzo dotkliwą, tu jutro może się srodze dać we znaki.

— **Masa do nitowania szpar w drzewie.** Często się zdarza, iż nie tylko stare zużyte meble, ale nawet zupełnie nowe pękają, paczą się, tworzą mniejsze lub większe szpary. Dla zapełnienia tych szpar, można użyć następnej massy: dobrze wypalone wapno gasi się w takiej ilości wody, żeby się rozsypało w delikatny proszek; proszek ten miesza się z żytnią mąką w stosunku 1 do 2, poczem dodaje się tyle pokostu, żeby zrobiła się gęsta massa, której można używać w powyżej wymienionym celu.



Jaszczurka pospolita. (do Str. 134).

KORRESPONDENCJE OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.

Panu Michałowi Z. w Dobrymkącie. „Pogadanki Ekonomiczne” będą i nadal drukowane w Opiekunie. Na zapytanie pańskie jak się technicznie nazywa *Benzina* i z czego się składa? odpowiadamy: że właściwą jej nazwą jest Benzol albo Fenylowodor, skład gatunkowy C12, H5, H, co znaczy, iż benzina jest węglowodorem (połączeniem węgla z wodorem). Otrzymuje się zaś na wielką skalę ze smoły węgli kamiennych, przy tak zwanej suchej destylacji. Dostać jej można we wszystkich składach materjałów aptecznych, po cenach jednak stosunkowo wysokich.



— *Panu *** nad Muszą.* Pytasz Pan dla czego niektóre czasopisma nasze piszą *hata, haos, hmara, hór, hudy, chonor, machoń*, i t. d. i t. d. kiedy zwyczaj wiekami uświęcony, pochodzenie tych wyrazów a nadewszystko ich brzmienie, każą je pisać tak: *chata, chaos, chmara, chór, chudy, honor, mahoń* i t. d.? Dlaczego to pisma nasze czynią? prawdziwie nie pojmujemy. Zdaje się jednak, że to nie wina Redakcij tych pism ale raczej zecerów i korrektorów, którzy nie mogą upatrzeć różnicy pomiędzy *h* i *ch*. Są jednak i światlejsi ludzie, obeznani jak się zdaje z grammatyką, a jednak utrzymujący, że obie te głoski brzmią jednakowo.

Że się mylą, nie mamy potrzeby tu dowodzić, ale tę tylko czynimy wzmiankę, że gdyby ucho nasze i innych brzmień podobnej natury nie mogło odróżnić, to musielibyśmy wkrótce *p* pisać zamiast *b*, *t* za *d*, *f* za *w*, *k* za *g* i t. d. Przykłady lepiej te rzecz objaśnią. Pisalibyśmy wówczas *pat*, zam. *bat*, *trut* zam. *drut*, *lut* zam. *lud*, *filozow* zam. *filozof*, *traw* zam. *traf*, *rók* zam. *róg* i t. d. Tak więc sposób pisania *h* zamiast *ch* i na odwrót, jest o ile błędny. o tyle nieloiczny. W niektórych razach pisanie takie pociągnełyby za sobą wielką galamacją; któżby naprzykład zrozumiał następny frazes: „*Hart tego człowieka znany jest sąsiadom.*” Jaki to hart? może duszy? nie, tu mowa o psie charcie. Albo „*Uciekł Chleb z miasta*”. Jaki Chleb?—juścić nie żytni, ale Hleb człowiek.

— *Pani Gospodyni.* Na zapytanie Pani, zkąd pochodzą ingredjencje używane w czasie świąt Wielkanocnych, odpowiadamy: *Szafran* pochodzi ze Wschodu i Europy, z kwiatu rośliny *Crocus sativus* dziko rosnącej; u nas często bywa fabrykowany. *Muszkatołowa gałka* jest owocem drzewa tejże samej nazwy, pochodzącego pierwotnie z wysp Malajskich, lecz obecnie hodowanego w Indjach, Brazylji, na Jawie, Sumatrze, it.d. *Wanilja* jest strączkowym owocem storczykowej rośliny tejże samej nazwy, rosnącej dziko w zwrotnikowej Ameryce i w Meksyku. *Cynamon* jest właściwie korą drzewa cynamonowego, rosnącego na wyspie Celjonie, gdzie zatrudnia do 25,000 ludzi. *Migdałowe drzewo* rośnie w północnej Afryce i na Wschodzie, hoduje się w wielu krajach ciepłych; znanym był od bardzo dawnych czasów. *Rodzenki* są to winogrona wysuszone; duże pochodzą z Azji, Francji, Hiszpanji—małe z Grecji, a mianowicie z Koryntu zkąd i nazwa ich pochodzi. *Cykata* używana do bab Wielkanocnych, jest skórka z melonu lub arbuza w cukrze smażoną.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.